Z PRASY EMIGRACYJNEJ.

M i s t r z   i   u c z e ń.
/"Wiad.Polskie" z dn. 19.IV.1942 r. Nr 16/110/

Są dwa "procesy Becka": mały i ogromny, proces dyplomatycznego wykonania i proces politycznej tezy, taktycznych posunięć i strategicznego położenia. Pierwszy jest w czasie bardzo ograniczony, drugi - rozciąga się na całe dzieje Polski, od Chrobrego do Piłsudskiego, obaj bowiem wbijali pale graniczne w Odrę, obaj składali wizyty w Kijowie. W tym drugim procesie na ławie oskarżonych siedzą nasi najwięksi królowie, kanclerze i hetmani. Zarzuca się im, że nie chcieli czy nie umieli dokonać wyboru między wschodem a zachodem, przez co dwukrotnie doprowadzili do sojuszu niemiecko-rosyjskiego i do rozbiorów Polski.

Oskarżenie jest tendencyjne i nieistotne.

Jest tendencyjne, albowiem ów "wybór" był, jest i będzie niemożliwy bez pomniejszania całości terytorialnej lub niepodległości politycznej, o ile nie pociąga za sobą utraty tej i tamtej. Powyższe stwierdzenie nie jest wytworem polskiej hardości czy jakiejś szczególnej nieufności do naszych dwu wielkich sąsiadów: jest to nauka z naszych dziejów płynąca, jest to nakaz naszego położenia geograficznego. Chcemy pozostać sobą, chcemy sami rozporządzać swym losem, chcemy uczestniczyć w organizacji współpracy międzynarodowej nie jako protektorat niemiecki czy republika sowiecka, ale jako Polska wolna, innym państwom równa. Nie może się Polska sól mieszać z kwasem pruskim, bo będzie pożarta; nie może się wiązać z zasadą rosyjską bo się w niej rozpuści.

Oskarżenie powyższe jest poza tym nieistotne. Trafniejszy byłby zarzut, że polityka polska nie zdołała stworzyć między Niemcami a Rosją wielkiego mocarstwa, któreby było w stanie oprzeć się wszelkim napaściom. Ale i ten zarzut tylko częściowo byłby słuszny. Mamy bowiem w swoim dorobku dziejowym bardzo udaną próbę takiego rozwiązania - unię polsko-litewską. Nazajutrz po pierwszej wojnie światowej, Polska natychmiast przystąpiła do organizowania współpracy narodów, które w wyniku tej wojny odzyskały niepodległość lub urzeczywistniły zjednoczenie. To przedsięwzięcie nie udało się nam z trzech powodów: po pierwsze mieliśmy dwie różne koncepcje tworzenia siły przez współpracy z innymi; po drugie u narodów o wspólnych z nami interesach nie znaleźliśmy zrozumienia i poparcie naszych planów; po trzecie mocarstwa zachodnio-europejskie patrzyły na nasze wysiłki obojętnie jeśli nie wręcz niechętnie.

Głównym polskim powodem nieudania się naszych planów była dwoistość naszej polityki zagranicznej. Można w skrócie powiedzieć, że jeden kierunek reprezentował Piłsudski, za którym, aż do zamachu majowego szli socjaliści a drugi - Dmowski, przywódca duchowy wielkiego zastępu narodowców, którego mówcą w sprawach polityki zagranicznej był wówczas Stanisław Grabski; szła także za Dmowskim mała drużyna chadeków Korfantego. Wielki ale sypki obóz ludowy nie miał w tej sprawie wyraźnej linii: Jan Dąbski i Thugutt popierali program Piłsudskiego; Witos skłaniał się raczej do koncepcji Dmowskiego. Wahadłowe również było stanowisko nielicznej zresztą grupy NPR.

Na czym polegały różnice między obu programami? W pierwszej fazie był to spór federalistów z inkorporacjonistami na wschodzie. Zlikwidowało go samo życie. Piłsudski nie znalazł na Ukrainie odzewu, jakiego się spodziewał, to też po wojnie polsko-sowieckiej plan ten zarzucił. W sporze o politykę ukraińską formalnie postawił na swojem Dmowski, ale faktycznie żaden z naszych dwu mężów stanu nie mógł sobie na łożu śmierci powiedzieć, że sprawę ukraińską w granicach Rzeczypospolitej załatwił. Mieliśmy bowiem parę milionów Ukraińców, na których lojalność liczyć nie mogliśmy, a nie byliśmy w stanie wysunąć rozwiązania, któreby tę lojalność nam zapewniło. Na północo-wschodzie spór między federalistami a inkorporacjonistami wygrali inkorporacjoniści poprostu dla tego, że Litwini bali się wszelkich związków z Polską.

Po uznaniu granic wschodnich przez wielkie mocarstwa utrzymują się nadal różnice między polityką zagraniczną obozu Piłsudskiego a obozu Dmowskiego. Nie dotyczą one stosunku Polski do Francji: w tej sprawie cały naród uznaje pożytek i konieczność sojuszu. Różnice między dwoma obozami są następujące: pierwszy chce stworzyć od Bałtyku do morza Czarnego wielki sojusz, do którego chce włączyć państwa bałtyckie z Finlandią na północy oraz Rumunię i Węgry na południu; drugi kładzie mniejszy nacisk na państwa bałtyckie, pozostawia na boku stosunek Węgier, wysuwa natomiast na czoło postulat czwórprzymierza polsko-czesko-rumuńsko-jugosłowiańskiego. Opinia polska popiera raczej program Dmowskiego.

To nas prowadzi do drugiego powodu niepowodzenia obu planów. Zamysł Pisudskiego nie znajduje poparcia ani w Finlandii, ani na Łotwie, ani w Rumunii /już związanej z Czechosłowacją i Jugosławią w ramach Małej Ententy/, ani na Węgrzech wreszcie. Program Dmow-

skiego, niewątpliwie bardziej realny i Europie bardziej potrzebny, może być zrealizowany między majem 1923 a majem 1926, ale zostaje przyjęty z obojętnością w Belgradzie, a z niechęcią w Pradze. Szanse jego realizacji mijają z chwilą gdy Piłsudski wraca do władzy. Gdy w r. 1933 barometr zaczyna wskazywać burzę, myśl Benesza zwraca się także ku Warszawie, ale Piłsudski - niestety - rokowań z nim nie podejmuje. Wielkie mocarstwa, sąsiadujące z Polską oraz z krajami dunajskimi i bałkańskimi, robiły co mogły by utrudnić konsolidację stosunków politycznych i gospodarczych w tym rejonie. Polityka Berlina w tym względzie dla nikogo nie była niespodzianką, ale analogiczna polityka Rzymu była bardzo niemądra - także z własnego punktu widzenia. Moskwa przeszkadzała Polsce nad Bałtykiem, ale do r. 1933 nie bardzo się interesowała dorzeczem Dunaju. Przed dojściem do władzy Hitlera nikt tu zresztą nie liczył na pomoc Związku Sowieckiego w polityce konstrukcyjnej. Francja natomiast gorzko powinna żałować, że nie zrealizowała ścisłej współpracy Polski, Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii i Grecji. Była w stanie to uczynić, ale aż do roku 1934 wolała się ograniczać do dwustronnych układów politycznych z poszczególnymi państwami tej grupy /z wyjątkiem Grecji z którą żadnego układu nie miała/. W umyśle kierowników francuskiej polityki zagranicznej układy te nie były kamieniami węgielnymi polityki bezpieczeństwa: były to raczej atuty w rozgrywce dyplomatycznej. Patrząc na Warszawę Paryż zezował ku Berlinowi, patrząc na Belgrad - ku Rzymowi. Wielka Brytania wreszcie, aż do marca 1939 r., odmawiała brania na siebie wszelkiej odpowiedzialności w Europie środkowo-wschodniej, co wcale nie tłumaczy chwiejności polityki Francuskiej w tym rejonie. Jasne było dla każdego, że W.Brytania nie mogłaby się przyglądać bezczynnie wojnie Francji i jej sojuszników z Niemcami, wojnie przez Niemcy rozpoczętej.

Polska ponosi tedy małą tylko część odpowiedzialności zato, że przed dojściem Hitlera do władzy nie było od Bałtyku do Adriatyku mocnego frontu przeciwniemieckiego. I raczej nie Polska ale Piłsudski z jego czeskim kompleksem.

x

Rok 1933 jest rokiem przełomowym. W Berlinie dochodzi do władzy obóz wojny. W polityce europejskiej rozpoczyna się okres gorączkowej działalności. Jeśli o Polskę chodzi, śmierć Piłsudskiego przypada wprawdzie na pierwszą część tego okresu, ale Marszałek powziął już zasadnicze decyzje, których skutki trwają aż do wybuchu wojny. Mojem zdaniem, nie było żadnej "polityki Józefa Becka" może być tylko mowa o takim czy innym wykonywaniu polityki Józefa Piłsudskiego.

W swej książce o "polityce Józefa Becka" - książce będącej właściwie zbiorem z talentem pisanych felietonów politycznych - Stanisław Mackiewicz miesza proces mały z ogromnym, źle je rozdziela w czasie, jest zarazem stroną zainteresowaną i oskarżycielem. Uznaje wszystko co Piłsudski postanowił i wykonał, natomiast Beckowi zarzuca niezręczność, nieumiejętność i lekkomyślność. Jego zdaniem, gdyby Piłsudski żył do dnia dzisiejszego, a Polska otrzymałaby "dostateczne kompensaty za wzmacnianie się Niemiec" /str. 142,/ albo wojna potoczyłaby się... inaczej. Jak Mackiewicz najwidoczniej zakłopotany, każe się nam tylko domyślać co jego zdaniem, uczyniłby Wielki Marszałek, a co popsuł mały pułkownik. Już w swej "Historii Polski" /str. 127/ napisał, że Piłsudski zawsze marzył o "Polsce cofniętej do czasów Władysława IV".

Nic nie wskazuje na to, że Piłsudski - jeśliby żywił jeszcze takie plany po 1933 r. - myślał o ich urzeczywistnianiu właśnie w sojuszu z Hitlerem. Człowiek, który wolał iść w r. 1917 do Magdeburga niż na Rosję do spółki z Drugą Rzeszą, nie mógł traktować poważnie projektu takiej wyprawy z Trzecią Rzeszą pod pachę. Przeciwnie: Piłsudski był pierwszym w Europie mężem stanu, który nie tylko zrozumiał co oznacza dojście Hitlera do władzy, ale który wskazał jednocześnie sposób zaradzenia złemu. Nie mam w ręku autentycznych dokumentów na temat inicjatywy polskiej z 1933 r. ale oto co na ten temat oświadczył Beck w swym jedynym od okupacji Polski publicznym oświadczeniu, a mianowicie w wywiadzie udzielonym nowojorskiemu "Nowemu Swiatowi" /Nr z dn. 9.III.1940 r./: "Przewidując już przed wielu laty to co się stało obecnie, - mówił - zaproponowaliśmy aliantom uderzenie na wroga, gdy dopiero swe siły zaczynał tworzyć. Alianci sądzili, że bez wojny da się ten problem rozwikłać i Niemców w pochodzie ekspanzyjnym powstrzymać". O ile mi wiadomo, Piłsudski wysuwał plan następujący: Rada Ligi Narodów powinna zarządać od Niemiec zgody na inwestygację przeprowadzoną przez Komisję Międzynarodową, której zadaniem byłoby sprawdzić, czy stan zbrojeń niemieckich odpowiada ich międzynarodowym zobowiązaniom; o ileby Niemcy inwestygację odrzuciły, Polska otrzymałaby od Ligi Narodów mandat okupacji Prus Wschodnich a Francja - Nadrenii; jeśliby inwestygacja przez Niemcy przyjęta, wykazała znaczne przekroczenie zobowiązań traktatowych, obie okupacje zostałyby zarządzone tylko na czas potrzebny do zniszczenia "nielegalnego sprzętu wojennego".

Powiedziałem już, że Piłsudski powziął przed swą śmiercią zasadnicze decyzje, których skutki trwały aż do wybuchu wojny. Decyzji tych było dwie: zgoda na oświadczenie polsko-niemieckie o nienapadaniu oraz niezgoda na t.zw. pakt wschodni. Mackiewicz aprobuje obie bez

zastrzeżeń. Ja - z zastrzeżeniami. Szczególnie jeśli chodzi o tę drugą. Albowiem, usuwając się od dyskusji na temat paktu wschodniego, Piłsudski zadecydował właściwie o całym biegu polityki polskiej aż do wybuchu wojny.

Oświadczenie polsko-niemieckie było pomyślane przez Hitlera jako próba zerwania sojuszu polsko-francuskiego oraz wciągnięcia Polski w orbitę wpływów niemieckich. Piłsudski widział w niej polską odpowiedź na odrzucenie jego inicjatywy kroków zapobiegawczych oraz na pakt czterech. Stwierdziwszy wolę Londynu i Paryża szukania pojednania z Hitlerem, Piłsudski zabezpieczał się by to "pojednanie" nie nastąpiło kosztem Polski, a przynajmniej aby Polska była na liście ofiar ostatnia. Piłsudski rozpoczynał grę dyplomatyczną, której celem - jak się wyraża Beck w już cytowanym wywiadzie - jest "opóźnić napad niemiecki aż do zawarcia przymierza z Anglią".

Można było tę grę przez parę lat prowadzić, ale trzeba było zdawać sobie sprawę, że oświadczenie z dn. 26.I.1934 r. nie było żadnym początkiem nowej ery w stosunkach polsko-niemieckich, że był to tylko rozejm. Otóż jesienią 1935 r. już po śmierci Piłsudskiego, Beck zaostrza stosunki polsko-czechosłowackie, a dn. 15.I.1936 r. oschle stwierdza w Sejmie, że "żadne dyplomatyzowanie nic tu nie pomoże", albowiem "o atmosferze istniejącej między naszymi dwoma krajami w pierwszym rzędzie decydować będzie stan faktyczny: traktowanie Polaków w Czechosłowacji" /"przemiówienia, deklaracje, wywiady": str. 198 ". Na tej poprawie "stanu faktycznego nigdy Beckowi właściwie nie zależało.

"Bronię Francji nad Renem, nie bronię jej w Pradze" - powiedział mi raz Beck w naszej berlińskiej ambasadzie późno w noc przy dobrym winie. Słyszałem także z jego ust inne powiedzenie: "Po raz drugi Sobieski nie pójdzie bronić Wiednia." Przypuszczam, że Beck powtarzał te dwie maksymy za Piłsudskim. Marszałek nie interesował się losem Austrii i Czechosłowacji. Skoro Europa odrzuciła jego inicjatywę z początku w 1933 r., skoro pakt czterech był jej pierwszą reakcją na dojście NSDAP do władzy w Niemczech - niech Hitler sam wykaże, jakim jest dla niej niebezpieczeństwem. Jeśli mocarstwa zechcą się z Berlinem bić o Wiedeń lub o Pragę, polskie dywizje zawsze chętnie wezmą udział w takiej operacji, ale - niech Francuzi i Anglicy strzelają pierwsi... Błędne to było rozumowanie. Obrona całości Czechosłowacji była naczelnym polskim interesem; obrona niepodległości Austrii powinnaby być wspólnym postulatem polsko-czechosłowackim. W Paryżu i w Londynie rozważano wówczas - wprawdzie nie bez obaw i nie bez wyrzutów sumienia - poświęcenie Austrii i Czechosłowacji. Polityka polska ułatwiała tylko decyzję zwolennikom "appeasementu", umożliwiając w dodatku komentarz, że bez Polski trudno postępować inaczej...

x

Piłsudski i Beck - mistrz i uczeń - postawili sobie "roboczą hipotezę", że Hitler pożarłszy Austrię i Czechosłowację zatrzyma się w swym pochodzie, nie poważy się bowiem wszcząć nowej wojny światowej, której początkiem byłoby uderzenie na Polskę. Ta hipoteza uniemożliwiła Piłsudskiemu podjęcie dyskusji na temat paktu wschodniego.

Hitler rozumował inaczej. Bismarckiem nie jest i do umiaru nie był zdolny. Marzył o niemieckiej Europie i chciał tej wojny, planując rozbijanie swych głównych przeciwników po kolei. Chciał zniszczyć i Rosję i Francję. Wolałby rozpocząć od Rosji, gdyby mu Polska w tym dopomogła. Widząc niechęć Polaków do takiej wyprawy, wrócił w r. 1938 do planu Schlieffena i powziął zamiar rozbicia przede wszystkim Francji. Do tego potrzebna mu była jednak gwarancja, że polska będzie neutralna, że zdradzi Francję, że ograniczy się do zbrojnego "obserwowania" Rosji. Na to również Beck zgodzić się ani nie chciał, ani nie mógł. Nie mógł dlatego, że ani armia, ani opinia nie miały do niego zaufania. W takiej sytuacji Hitler doszedł do wniosku, że "Beck go oszukuje" /powiedział to Sumner Wellesowi w Berlinie w marcu 1940 r./, i postanowił rozpocząć swą wojnę z Zachodem od polskiego "allié de revers".

"Robocza hipoteza" mistrza leżała w gruzach, a uczniowi nie pozostawało nic innego niż odejść. Powinien był to uczynić już w styczniu 1939 r., po swej ostatniej rozmowie z Hitlerem. Nie zmieniłoby to biegu wypadków, ale Beck zachowałby przynajmniej oblicze męża stanu à la Wielopolski.

KAZIMIERZ SMOGORZEWSKI

---0---

Dwie relacje o Westerplatte.

/"Polska Walcząca - Żołnierz Polski na obczyźnie" - Nr 35 - 1942 r./

W dniu 1 września wracamy znowu myślą do tej najchlubniejszej karty naszej kampanii wrześniowej, jaką stanowi obrona Westerplatte. Dotychczas nie mieliśmy żadnej relacji polskiej o tym epizodzie. Dzisiaj jesteśmy już w możności dać krótkie, żołnierskie sprawozdanie jednego z uczestników obrony oraz reportarz dziennikarza amerykańskiego, który był na Westerplatte w dniu 18 września 1939 r., a więc niedługo po tragicznym finale obrony tego posterunku

Oto co opowiada żołnierz polski - członek załogi Westerplatte:

"od dnia 25 sierpnia t.j. z chwilą przybycia pancernika "Szlezwig Holsztein" sta pogotowia załogi Westerplatte, który już od 22 marca obowiązywał, został zaostrzony. Od zmr ku do świtu około jedna trzecia załogi zajmowała wraz ze sprzętem, stanowiska bojowe w tere nie.

Piękny wieczór dnia 31 sierpnia nie różnił się niczym od poprzednich. Patrole i ronty, krążące w ciągu nocy w terenie nie zameldowały nic prócz tego, że kanał portu jest wyjątkowo pusty a w całym porcie panuje jakaś niesamowita cisza. Mimo to nikt nie przeczuwa takiej pobudki, jaka nstąpiła dnia 1 września o godzinie 4.40; w tej bowiem chwili zabrzęczały wszystkie szyby w koszarach od ognia ciężkich dział pancernika "Szlezwig Holsztein", który stał w odległości około 600 m. od nas w kanale porotwym.

Stało się jasne, że wojna rozpoczęta. Alarm przebudzonej tak niespodziewanie częś załogi odbywał się już przy "graniu" naszych "maszynek" ze stanowisk polowych i wartowni. Z chwilę meldunek dowódcy wschodniego odcinka wyjaśnił sytuację. Nieprzyjaciel wysadził w powietrze bramę kolejową i mur obok niej i przez tę wyrwę wlał się na nasz teren. Zaskoczony ogniem broni maszynowej, której obecności w tym miejscu w nocy widocznie się nie spodziewał począł się wycofywać na swoje stanowiska wyjściowe, ponosząc przy tym znaczne straty. Tak mniej więcej zaczęło się na Westerplatte. Ogień z pancernika wzmógł się niebawem. Ze spichlerzy i wszystkich wysokich budynków po drugiej stronie kanału odezwały się niemieckie kara biny maszynowe. Część z nich została zniszczona ogniem naszej 3-calówki, która niestety po oddaniu około 30-tu strzałów musiała zamilknąć, trafiona pociskiem nieprzyjacielskim. Pozos ły nam prócz karabinów maszynowych tylko cztery Stokesy, których ogień ostatecznie zlikwidował natarcie nieprzyjaciela.

Jednak nasza wysunięta ku wschodniemu skrajowi Westerplatte linia obronna - musia być na skutek ognia ciężkiej artylerii okrętowej opuszczona. Załoga jej wycofała się na roz kaz na linię umocnionych wartowni. Straty własne nieznaczne: 3 zabitych i 4 rannych. Reszta dnia przeszła względnie spokojnie. Próby nocnych natarć i wypadów nieprzyjaciela zostały łatwo zlikwidowane.

Dnia 2 -go września do godziny 17-tej nie było szczególnych wydarzeń. Do ostrzeliwania bowiem przez artylerię zdołaliśmy już przywyknąć. O godninie 17-tej nalot nieprzyjacielskich eskadr i bombardowanie Westerplatte. Przestrzeń ok. 50 ha. bombardowało przez pół godziny 47 samolotów, zrzucając grad bomb różnego kalibru , od ½ do 500 kg. Dopiero zmierzc przerwał to piekielne bombardowanie, po którym nasz teren wygladał jak powierzchnia księżyc - krater koło krateru.

Górne kondygnacje koszar w ruinie. Brak niestety wartowni nr 5, która zrównana została z ziemią, a bohaterska jej załoga znalazła swój grób w jej ruinach. Łączność telefoniczna i sygnalizacja świetlna zniszczone. Radiostacja uszkodzona i nie do użytku. Na przedpolu pożar podszycia leśnego i siana. Kuchnia zniszczona, piekarnia uszkodzona. Wodociągi i kanalizacja rozbite. Jednym słowem obronność umocnień stałych i koszar mocno nadwyrężona. Łączność telefoniczna zniszczona za dnia, musiała być improwizowana w nocy i tak było przez cały czas.

Krytyczny okres po tym bombardowaniu stanowiły dwie pierwsze godziny. Po ich upływie byliśmy już gotowi znowu do dalszej obrony. Natarcie nieprzyjaciela wyszło jednak dopiero w pięć godzin po nalocie. Zostało odparte.

Odtąd dzień do dnia był podobny. Codzienne ostrzeliwanie działami okrętowymi i artylerią z lądu trwało po kilka godzin. Szczerbiło ono naszę nadwyrężone już mocno mury i niszczyło ubogi sprzęt ogniowy. Na stanowiskach stali jedni i ci sami ludzie - byli już u kresu sił fizycznych. Stan moralny załogi przez cały czas był wspaniały. Trzynaście natarć nieprzyjacielskich w ciągu tych siedmiu dni i nocy zostało odpartych.

Kiedy jednak w siódmym dniu walki została zburzona ogniem ciężkich moździerzy wartownia nr 2, a inne były również mocno nadwyrężone, stało się dla nas jasne, że opór nasz do biega końca. Nasi ciężko ranni, których część została następnie zabita odłamkami pocisków artyleryjskich, nie mieli potrzebnej pomocy, poza prowizorycznymi zabiegami na punkcie opatrunkowym. Położenie w kraju - mimo uszkodzenia radiostacji - częściowo dowiedzieliśmy się, wykluczało możliwość zmiany naszego położenia na lepsze".

Dowódca Westerplatte, major Henryk Sucharski powziął dnia 7 września o godzinie 10.15 smutną decyzję kapitulacji. Tej tragicznej chwili nie złagodziły mu gratulacje dowódców niemieckich i pozostawienie szabli przez dowodzącego w Gdańsku gen. Eberhardta.

Ten lakoniczny obraz historycznej obrony dopełni wyjątek z relacji dziennikarza amerykańskiego Johna Mc Cutcheon Raleigh`a, który w książce p.t. "Behind the Nazi Front" tak opisuje swoje wrażenia z pobytu na Westerplatte w kilka dni po kapitulacji:

"Drzewa - gęsto poprzednio rosnące - przedstawiały żałosny widok. Biegły one pasem od cypla półwyspu, gdzie znajdowały się składy amunicji. Żaden pożar nie mógł ich dokładniej wytrzebić. Z postrzępionych pni sterczały nieliczne gałęzie. Nie było drzewa z nienaruszonym

górnymi gałęziami lub bez uciętego wierzchołka. Kora z drzew była zdarta a ziemia wokół nich pokryta drzazgami.

Pierwszy budynek do którego zbliżyliśmy się był domem dowódcy Westerplatte. Został z niego tylko ruiny.

Główne umocnienia, poza szczególnie narażonymi wartowniami dobrze wytrzymały ogień dział niemieckich. Przeszliśmy przez ciemne, wietrzne chodniki podszalowane grubymi deskami, ze strzelnicami dla karabinów maszynowych i specjalnymi wejściami z betonowym sklepieniem dla wypadów załogi. Wyłazy te zamknięte były grubymi stalowymi, zręcznie zamaskowanymi drzwiami. Głęboko w ziemi umocniono magazyny i kwaterę dowództwa Westerplatte.

Chociaż Polakom wogóle brak było odpowiedniej artylerii, zdolnej przeciwstawić się niemieckiej przewadze ognia, udowodnili oni wysoką wartość karabinów maszynowych i działek ppanc. działających z dobrych schronów.

Jeden z oficerów niemieckich podniósł coś z ziemi mówiąc:

- "Proszę patrzeć". - Były to dwa splecione, zakrzywione gwoździe z bardzo ostrymi końcami.- Polacy rozrzucili to między drzewami otaczającymi koszary. Gdy nawet najgrubszymi butami nastąpi się na ten przedmiot, przecina podeszwę jakby była z papieru.

Te złośliwe, małe ostrogi tym się odznaczały, że jakkolwiek było je rzucić na ziemię, ostrze zawsze sterczało do góry.

- Las jest pełen tych pułapek - rzekł oficer - Nie mieliśmy jeszcze czasu ich pousuwać, więc proszę trzymać się ścieżki.

Nie potrzeba dodawać, że nikt nie ośmielił się zejść na bok.

Leje po pociskach, pietnaście stóp głębokie i czterdzieści szerokie zryły ziemię pomiędzy składami amunicji a innymi budynkami. Polscy inżynierowie pozostawili pustą przestrzeń, ok. 200 yardów szeroką, pomiędzy głównymi pozycjami obronnymi a umocnionymi budynkami.

Żołnierze "Arbeitsdienstu," młodzi, szesnasto i siedemnasto letni chłopcy z bagnetami na karabinach pilnowali kilkuset polskich jeńców, którzy pracowali w milczeniu, zasypując łopatami i grabiami leje po pociskach. Polacy wpatrywali się w nas jakby byli w letargu poruszając narzędziami pracy tylko tyle, aby robić wrażenie, że pracują.

Dwa groby polskich żołnierzy znajdowały się przed głównym budynkiem. Bronzowe furażerki wisiały na krzyżach z surowego drzewa. Wszyscy zdejmowali nakrycia głowy przechodząc koło tych grobów. Towarzyszący nam oficerowie niemieccy salutowali je.

W trzy tygodnie później, kiedy znowu byłem na Westerplatte, tych grobów już nie było. Kiedy spytałem gdzie są, nikt nie mógł odpowiedzieć. Przewodnicy, którzy byli z nami twierdzili, że nie było tu żadnych grobów. Louis Lochner zrobił kilka zdjęć tych grobów w dniu 19.IX.1939 r. Fotografie te pozostały i świadczą niezbicie, że groby się tam znajdowały. Czy zwłoki zostały przeniesione, tego nie wiem.

Budynki koszar zostały całkowicie zniszczone. Jeden tylko lepiej się trzymał, chociaż jego dach się zapadł a mury zostały wielokrotnie podziurawione pociskami. W czterech rogach budynku pozostały nienaruszone karabiny maszynowe. Karabiny te umieszczone były w suterynach a szerokie otwory strzelnicze pozwalały im ostrzeliwać przedpole na łuku 45 stopni.

Bomby padły wszędzie. Trafiony został duży schron wartownia. Jego wnętrze było dla mnie najokropniejszym widokiem z całej kampanii polskiej. Jedna z najcięższych bomb - oficer mówił, że ważyła 2.000 funtów - padła tuż obok pochyłego, betonowego sklepienia schronu. Lej, który powstał miał 60 stóp średnicy i 20 stóp głębokości. Cały schron przechylił się, dach uległ wgnieceniu do środka a grube na trzy stopy ściany skręciło jak dziecinną zabawkę.

Schodząc do schronu wśród brył betonu i poskręcanych szyn kolejowych, stanowiących szkielet umocnienia, poczuliśmy dziwny zapach. W chwili, kiedy bomba padła, żołnierz gotował strawę. Niezwykle silna eksplozja rzuciła go w górę, wtłaczając między zapadnięty dach schronu a pokrzywione ściany. Trup żołnierza spłonął od ognia powstałego przy wybuchu bomby. Kawałki munduru zostały wgniecione w szczeliny ścian. Sczerniałe kości i ciało gniły w mrocznym schronie.

Gdy drugi raz byłem na Westerplatte, trup tego żołnierza nie był jeszcze usunięty, wzbudzając jeszcze bardziej odrażające uczucie. Kuchnia, na której gotował - odrzucona została daleko w głąb schronu. Z innych żołnierzy, ktorzy w chwili wybuchu bomby stali przy nim - pozostały tylko ... naboje, które mieli w ładownicach. W schronie tym nikt się nie uratował. Nasz przewodnik - oficer niemiecki twierdził, że w tym schronie znalazło śmierć 20-tu żołnierzy.

Lotnik niemiecki rzucił tę bombę z wysokości 50 stóp. Za czyn ten został oznaczony "Żelaznym Krzyżem". Później dowiedziałem się, że ten sam lotnik został zestrzelony nad Anglią.

Tyle dziennikarz amerykański, którego relacja mimo niezaprzeczalnej szczerości nie zawsze oddaje prawdziwy obraz obrony Westerplatte, gdyż był on informowany przez oficerów niemieckich, którzy towarzyszyli wycieczce dziennikarskiej.

Nam żołnierzom dla wyobrażenia sobie walk na Westerplatte wystarczą następujące elementy: około 200 polskich żołnierzy broni się przez 7 dni i nocy w koszarach i umocnionych wartowniach przeciwko wielokrotnie przeważającym siłom - nacierającym kilku kompaniom szturmowym niemieckiej marynarki wojennej, batalionowi wystawionemu przez gdańską partię narodowo-socjalistyczną i oddziałom gdańskiej obrony nadbrzeżnej. Główną bronią Polaków są karabiny maszynowe i jedna połówka przeciwko ciężkim działom pancernika "Szlezwig Holsztein", kilku bateriom lądowym i niezliczonej ilości karabinów maszynowych. Ponadto bombowce nurkujące bombardowały Westerplatte z powietrza przez cały czas walk.

To jest dotykalna, arytmetyczna miara bohaterstwa polskiego, posterunku nad polskim morzem, w Gdańsku, który był i będzie polski.

MIECZYSŁAW PRZECZOWSKI

---0---

P o l s k i r u c h w y d a w n i c z y n a e m i g r a c j i.
/"Wiadomości Polskie" 30.VIII. 1942 r./

Niedawno wydany "Rocznik Bibliograficzny druków w języku polskim oraz w językach obcych o Polsce" /Rocznik Bibliograficzny druków polskich oraz w językach obcych o Polsce wydanych poza terytorium Rzeczypospolitej Polskiej 1.IX.1939 - 31.XII.1941. Opracował Tadeusz Sawicki. Edynburg, Oliver and Boyd, 1942; str. 67 i 3nl./ zawiera aż 561 pozycyj.

Imperium brytyjskie z metropolią na czele przoduje gdy chodzi o polski ruch wydawniczy. I kiedy przed wojną nie istniały, poza Kanadą, na obszarze Imperium żadne wydawnictwa polskie, dzisiaj bibliografia polska w Wielkiej Brytanii pochwalić się może liczbą 354 pozycyj.

Jedną z najciekawszych pozycyj w polskim ruchu wydawniczym jest statystyka czasopism. Otóż według stanu z dnia 31 grudnia 1941 r. ilość periodyków polskich wraz z jednodniówkami wynosiła 175. Z ciekawego i cennego zestawienia, podanego na końcu "Rocznika" wynika że z ogólnej ilości 175 periodyków, wychodziło w języku polskim 163, w językach obcych 12 /w tym 9 po angielsku/.

Jeśli teraz chodzi o czas powstania czasopisma /przed lub po 1 września 1939 r./, to z końcem r. 1941 istniało nowych 110, przedwojennych 65.

Periodyków polskich na terenie Wielkiej Brytanii było w końcu 1941 r. 54. Po odliczeniu 5 jednodziówek i 4 czasopism wydawanych po angielsku, otrzymamy 45 czasopism drukowanych w języku polskim.

Obok Wielkiej Brytanii duży dorobek wydawniczy wykazują kraje Ameryki ze Stanami zjednoczonymi na czele. W państwach obu Ameryk istniało przed wojną 47 czasopism polskich. W latach wojennych ukazało się tam 14 czasopism. Ogółem wychodzi więc dzisiaj w krajach obu Ameryk 61 czasopism, z czego 6 w językach obcych. /angielskim, hiszpańskim i portugalskim/

W innych krajach jest już sytuacja całkiem odmienna. W Egipcie, Palestynie i w Libii wszystkie periodyki w ilości 9 powstały w czasie wojny, częściowo w jednostkach armii polskiej, częściowo wśród uchodźców cywilnych. We Francji do liczby 10 czasopism wychodzących przed wybuchem wojny, przybyło w latach 1939/1940 ogółem 19 czasopism; dzisiaj jednak na terenie tak Francji okupowanej jak i nieokupowanej nie wychodzi już ani jedno czasopismo W Z.S.R.R. wszystkie 6 czasopism powstało w ciągu ostatniego roku, od chwili ropzpoczęcia nowej armii polskiej.

Druki nieperiodyczne obejmują 386 pozycyj.

Na pierwszym miejscu znajduje się dział: "Historia, Biografia, Pamiętniki" z 88 pozycjami, z czego tylko 26 w języku polskim /reszta w językach francuskim i angielskim/. Grupa ta obejmuje głównie dzieła ogólno-historyczne i pamiętniki z ostatnich kampanii wojennych.

Na drugim miejscu idzie dział literatury pięknej z 71 pozycjami /w tym szereg przedruków arcydzieł literatury polskiej/.

Skolei idzie dział "Polityka i Publicystyka" z ilością 60 pozycyj. Znaczna część tych wydawnictw, to broszury polityczne o charakterze polemicznym lub omawiające zagadnienia polityczno-moralne, ogólno-narodowościowe, federacyjne i t.d.

Z innych działów na uwagę zasługują wydawnictwa teologizcne /23 pozycje/, geograficzne /17 pozycyj/, muzyczne /16 pozycyj/, lingwistyczne /12 pozycyj/ i prawno-gospodarcze /11 pozycyj/.

Niewątpliwie "Rocznik" p. Sawickiego, opracowany zresztą sumiennie i starannie, nie jest wyczerpujący. Nawet w Wielkiej Brytanii, szperając głębiej po kioskach i świetlicach żołnierskich lub w podróżnym bagażu żołnierzy, znaleśćby można jeszcze szereg różnych wydawnictw, któreby uzupełniły tę bibliografię - a cóż dopiero w innych krajach. Dlatego, mając dziś w "Roczniku" podstawę do orientacji o polskim ruchu wydawniczym doby wojennej,

nich nikt nie szczędzi dalszych informacyj. Dla własnej satysfakcji, dla stwierdzenia naszego stanu posiadania w tej dziedzinie kultury, jak i naszego w tym kierunku dorobku.

---O--- ZYGMUNT GODYŃ

P O L A C Y N A C A Ł Y M Ś W I E C I E.
POLACY W LOTNICTWIE U.S.A.

J a k k p t. T o k a r z z a t o p i ł j a p o ń s k i l o t n i s k o w i e c.
/"Dziennik Polski" 9 września 1942 r./

Donosiliśmy niedawno o pięknym wyczynie wojennym Polaka kapitana lotnictwa U.S.A., który w czasie bitwy pod Midway zatopił bombami ze swego samolotu dwa japońskie okręty, jeden lotniskowiec i jeden transportowiec, zaś uszkodził prawdopodobnie trzeci okręt-krążownik. Dowództwo lotnictwa U.S.A. cytowało w rozkazie kpt. Tokarza, potwierdzając oficjalnie jego wielki sukces.

Prasa amerykańska i polsko-amerykańska podała szereg wzmianek i wywiadów z kpt. Tokarzem, podkreślając jego odwagę i sprawność bojową. Tokarz ma obecnie 26 lat.

Oto jak kpt Tokarz w jednym z wywiadów opisał przebieg swych walk i swego sukcesu.

- Uderzyliśmy na nich - mówił - niespodziewanie, z za chmur, w pierwszych godzinach działań trafiając znaczny transportowiec, który zapalony, rychło zatonął. Możnaby sądzić, że 1000 Japończyków w ciągu trzech minut wyskoczyło do wody, płynąc w kierunku Tokio. Widok naszego sukcesu radował nas nadzwyczajnie i żałowaliśmy bardzo, że musieliśmy zawracać do bazy.

- Moja "latająca forteca" w ciągu trzech dni trzykrotnie startowała do akcji. Piękny ten samolot B-17, nazwany przez nas "Jitterburg", w czasie tym przez 54 godziny znajdował się w akcji. W trzykrotnych starciach żadna z naszych maszyn nie została strącona. Wszyscy wróciliśmy do baz bez ofiar. Jedyną ofiarą był artylerzysta, któremu drzwiczki samolotu przycięły palec. W drugim dniu walki trafiliśmy czterokrotnie japoński lotniskowiec, który zatonął. Ślicznie wyglądał, gdy cały stanął w płomieniach. Cudowne są nasze bomby, które spadają w samo serce celu.

- W walkach musieliśmy się opędzać japońskim myśliwcom, jak i unikać ognia japońskiej artylerii. Japończykom udało się wprawdzie oderwać nam jeden z czterech silników, nie przeszkodziło to jednak walczyć nam dalej, posługując się pozostałymi trzema. Szrapnele zasypywały nas, a ogień maszynwy z japońskich myśliwców wyrył na naszej "fortecy" piękne desenie. Wróciliśmy jednak do bazy bezpiecznie. Atak na koncentrację japońskiej floty przeprowadziliśmy z bardzo wysoka, z poza chmur, w dziesięć samolotów nurkując do celu. W walce strąciliśmy również trzy japońskie samoloty typu "zero".

Większość lotnik w amerykańskich otrzymała pod Midway swój chrzest bojowy. Ci młodzi chłopcy, wśród których poza kpt. Tokarzem było kilku innych Polaków, doskonale wywiązali się z zadania. Flota japońska po starciu z amerykańską atakowana niezmiernie skutecznie przez lotnictwo musiała się wycofać z wielkimi stratami.

Czyny kpt. Tokarza przyczyniły się niezmiernie do popularyzacji wkładu Polonii Amerykańskiej do wojennego wysiłku Stanów Zjednoczonych.

---O---

R o b o t n i c y p o l s c y w U.S.A. i K a n a d z i e.
/"Dziennik Polski" 8 kwietnia 1942 r./

Nie licząc około 500.000 farmerów polskich, liczba robotników pochodzenia polskiego w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie sięga conajmniej półtora miliona.

- W Stanach Zjednoczonych robotnicy polscy, wraz z Czechami, Słowakami i Jugosłowianami, obsługują w wielkim procencie niektóre działy produkcji, pracą swą decydując o jej intensywności. Dotyczy to szczególnie przemysłów, niezmiernie ważnych z punktu widzenia wojny. Najlepiej charakteryzują to cyfry.

W tym, co generalnie nazywamy przemysłem zbrojeniowym 57% robotników, majstrów i techników stanowią członkowie czterech wspomnianych narodowości. W olbrzymich zakładach Forda, przestawionych obecnie całkowicie na produkcję sprzętu wojennego, czołgów, wozów wojskowych, motorów i samolotów, stanowią oni 48% ogółu zatrudnionych. W całym przemyśle samochodowym Stanów, stosunek ten sięga 38%. W wielkim zagłębiu Pensylwanii ponad 50% górników, to również Polacy. We wszystkich tych przemysłach Polacy są grupą najliczniejszą, dla zdolności i ofiarności pracy, niezwykle cenioną.

Najlepszą opinię o nich wydał niedawno Prezydent Roosvelt, oświadczając, że powodzenie swej akcji politycznej zawdzięcza w dużej mierze robotnikom polskim, a także jugosłowiańskim i czechosłowackim, którzy udzielają mu swego poparcia, a którzy dzisiaj tak ofiarnie pracują dla Ameryki, wierząc, że w ten sposób walczą o wolność ich uciemiężonych krajów.

Liczba robotników polskich w Kanadzie wynosi ok. 30.000. Poza tym ponad 15.000 farmerów polskich pracuje przy uprawie roli. Najwięcej Polaków robotników, zatrudnionych jest w górnictwie, w przemyśle odzieżowym, transporcie, budownictwie.

Robotnicy polscy w Ameryce przywiązani są zarówno do języka jak i do tradycji swego polskiego pochodzenia. Zapewne, w stosunku do innych grup Polonii, bardziej wsiąknęli oni w grunt amerykański, jest to jednak zjawisko naturalne, jeśli zważy się, że sprawy zawodowe wiążą ich silniej od innych grup polskich, z amerykańskim światem pracy. Większość robotników polskich w Stanach zrzeszona jest w dwóch wielkich związkach zawodowych - Amerykańskiej Federacji Pracy i Związku Organizacji Przemysłu, nastawionych przede wszystkim na obronę praw pracowniczych. A jednak robotnik polski, właśnie obecnie, w toku wojny wywalczył sobie prawo tworzenia w ramach tych związków - polskich sekcji. Dnia 11 stycznia r. b. odbył się w Chicago Zjazd delegatów tych sekcji, na którym powołano Polsko-Amerykańską Radę Związków Zawodowych. Rada wytknęła dwa główne zadania robotników polskich w Stanach; pierwsze: wzmożenie produkcji wojennej wszelkimi siłami, walka ze strajkami, sabotażem, i drugie: pomoc Polsce walczącej przez zbieranie pieniędzy na polskie cele wojenne i ratunkowe obrona polskich interesów i dobrego imienia Polski, jak również popieranie wysiłków Rządu Polskiego. "Pracą naszą - mówi rezolucja zjazdu - składamy cześć najwyższą młodzieży i ludowi pracującemu w Polsce podziemnej".

Obok sekcji w amerykańskich związkach zawodowych, istnieją naturalnie, czysto polskie organizacje robotników i górników. Są one bardzo silne we wschodnich stanach, jak New York, Pensylwania i środkowych, jak Michigan. Organizacje mają charakter ubezpieczeniowy, lub kulturalny, zbliżony do charakteru ogółu organizacji polskich w Stanach. Istnieje również kilka pism polskich przeznaczonych dla robotników.

Tak więc Polonia amerykańska nietylko dostarcza Stanom żołnierza, nietylko walczy o dobre imię Polski w świecie i o jej żywotne sprawy. W obecnej wojnie, wojnie przemysłu, robotnik polski za oceanem, w kopalniach Pensylwanii, olbrzymich zakładach Michigan i fabrykach Ontario, wnosi przez swą pracę ogromny wkład do wysiłku Sprzymierzonych, rozumiejąc że każdy czołg, samolot czy pocisk wyprodukowany jego ręką przyczynia się do zwycięstwa Polski.

W.

---0---

P o l o n i a a m e r y k a ń s k a j e ń c o m w N i e m c z e c h.

/"Dziennik Polski", Nr 532, Londyn, Czwartek, 2.IV.1942 r./

Nadeszło sprawozdanie Prezesa Rady Polonii Amerykańskiej o pracach Rady w 1941 r. Z przeglądu wszechstronnej działalności tej naczelnej instytucji największego skupiska Polaków poza granicami kraju, wynika, że główna uwaga zwrócona jest na skierowanie pomocy istotnie potrzebującym jej najbardziej t.zn. jeńcom polskim w Niemczech. Pomoc ta wyraża się przede wszystkim w zorganizowaniu wysyłki paczek. Rada Polonii wysłała w ciągu 1941 r. 85.000 paczek standartowych, za cenę 200.000 dolarów. Niezależnie od tej akcji centralnej, lokalne "Komitety Paczkowe" przesłały ponad 70.000 paczek imiennych do jeńców, tak że w sumie Polacy amerykańscy wysłali do obozów polskich ponad 155.000 paczek wartości ok. 450.000 dolarów. Ponadto Rada Polonii udzieliła szeregu subwencji organizacjom i komitetom na pracę opiekuńczą i świetlicową w obozach jeńców w Niemczech i w Szwajcarii, w sumie 50.000 dolarów.

Łącznie z wydatkami na pomoc uchodźcom cywilnym i obozom internowanych w wielu państwach europejskich rozprowadzono ponad 600.000 dolarów, a uwzględniając zapoczątkowaną już w ub.roku pomoc Polakom w Rosji, wysiłek Polaków amerykańskich zamknął się w sumie 2.000.000. dolarów.

Mimo tak poważnych rozmiarów pomocy, Rada Polonii zdaje sobie sprawę, że wiele pilnych potrzeb dotąd nie zaspokojono. Tylko na odcinku pomocy jeńcom potrzeba sumy pół miliona dolarów miesięcznie, jeśliby każdy jeniec miał otrzymać przynajmniej jedną paczkę miesięcznie. W nadchodzącym roku Rada Polonii liczy na znaczne wzmożenie ofiarności na cele pomocy i spodziewa się połączenia wysiłków w tym kierunku całej Polonii Amerykańskiej.

oooo000000000oooo